

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

15-21 marca 2005 r.

NR 3 (24)

1. Z kart przeszłości – ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. Ze wspomnień – przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z dziejów Konina – artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. Tworzyli wizerunek miasta – sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. Naszym zdaniem – wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. Inspiracje kulturalne – poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z życia TPK – zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. Barwy codzienności – podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
9. Odpowiedzi redakcji
10. Oko w oko – konkursy ze znajomości miasta dla Czytelników
11. Inne – tematy inne niż wymienione powyżej

Mili, w marcowym garncu macerowani, Czytelnicy

Najważniejsze, że najęźsze mrozy raczej za nami – choć Janek wywołuje zasypiające licho i przypomina dawne biedne (!?) zabawy na lodzie. A swoją drogą też specjalnie nie przypominam sobie, ani kichania, ani gorączkowania w tych zamierzonych powojennych latach. (Kopciorów też jednak nie pomietam).

Polecam szczególnie ciekawy artykuł Lecha Hejmana traktujący ab ovo o dziejach naszego miasta. Być może innej jeszcze historycy mają swoje przemyślenia na ten temat – zapraszamy na łamy Koninianów.

Szymon Pawlicki sprowokował Zygmunta Kowalczykiewicza i oto mamy opis nowej odysei – do Bałtyku. Godne uznania jest pracowite kręcenie głową autora raz na prawy, raz na lewy brzeg i wyluskiwanie różnych ciekawostek historycznych lub legendarnych.

Lech Stefaniak kontynuuje swoje naprawianie Małej Ojczyzny. Ciekawa jest taka wiewsekcja, gdy samemu siedzi się również w tym kociołku. Pouczające.

Zachęcam też do zapoznania się z pamiętnikiem Juliana Wieniawskiego (brata kompozytora) z okresu jego po-

bytu w Konińskim w czasach powstania styczniowego.

Pozwólcie Państwo wręczyć zasłużonym konińskim kwaciarkom laurkę z okazji Dnia Kobiet – jest to jednocześnie laurka, per procura, dla pozostałych koninianek od Koninianów.

Wiele też piszemy o zebraniu sprawozdawczo-wyborczym. Przecież to właśnie Wy, drodzy Państwo, jesteście naszymi odbiorcami jak i decydentami poczynań Koninianów. Reszta w stosownym protokole.

Stanisław Sroczynski
PS Składam serdeczne podziękowania za gratulacje otrzymane od Pań-

stwa z okazji wyboru na prezesa Towarzystwa Przyjaciół Konina. Pozwalam sobie również nieskromnie wydrukować gratulacje od Prezydenta Miasta. Jeszcze raz wszystkim serdecznie dziękuję.

PS Chcę również donieść Państwu o niecodziennym spotkaniu dwójga koninian pokazanego w dniu 26 lutego o godzinie 19.00 w Faktach w TVN – była to sympatyczna rozmowa przeprowadzona przez Katarzynę Sławińską z Janem Kaczmarkiem w Hollywood.

StS

Zasługi Piastów dla Konina

Regionaliści, nauczyciele historii, przewodnicy PTTK i inne osoby interesujące się dziejami Konina na ogół bezskutecznie szukają odpowiedzi na zdawaloby się proste pytanie, który z władców Polski zatwierdził przywilej lokacyjny dla miasta. Takiej jednoznacznej odpowiedzi nie daje opracowanie Andrzeja Wędkiego „Konin w czasach przedrozbiorowych”. Autor przyjmuje, że prawa miejskie Konin otrzymał przed 1293 rokiem bowiem, w tym roku wójt Gosław z Konina został zanotowany w jednym z zachowanych dokumentów. Tym samym władcą, który mógł zatwierdzić dokument lokacyjny, był **Przemysław II**, książę wielkopolski, od 1295 r. król Polski, zamordowany w roku 1296.

Jednak historyk Jerzy Lojko zna treść dokumentu z 1283 roku, traktowanego przez Wędkiego jako fałszyfikat, w którym znajduje się zapis o oppidium Conin, co by mogło, jego zdaniem, cofnąć datę lokacji Konina do 1265-1283. Wtedy panującym w tej części Wielkopolski był książę kaliski **Bolesław Pobożny** (ur. po 1221, zmarły w 1279). Ten władca musiał być zainteresowany powstaniem większej osady, potem miasta w miejscu najdogodniejszej przeprawy przez rzekę na szlaku do Kruszwicy i dalej do Gdańska, które to miasto Bolesław oswoił w 1272 roku z rąk Brandenburczyków. Inne miejsca przeprawy (Kaszuba, Łądek) zostały zniszczone wielkim wylewem Warty w 1250 roku, co spowodowało przemieszczenie się osadnictwa w głąb łąd.

Takim był Konin, który jako niewielki gród już w XII w. służył przeprawom kupieckim, czego dowodem jest ustawiony w tym miejscu słup drogowy (1151). Zatwierdzenie praw miejskich Koninowi przez Bolesława Pobożnego jest bardzo prawdopodobne, bowiem jako książę kaliski musiał być zainteresowany rozwojem gospodarczym ziem mu podległych. Jako pierwszy władca nadal przywilej Żydom wnoszącym kapitały i zajmującym się organizacją handlu z innymi dzielnicami kraju.

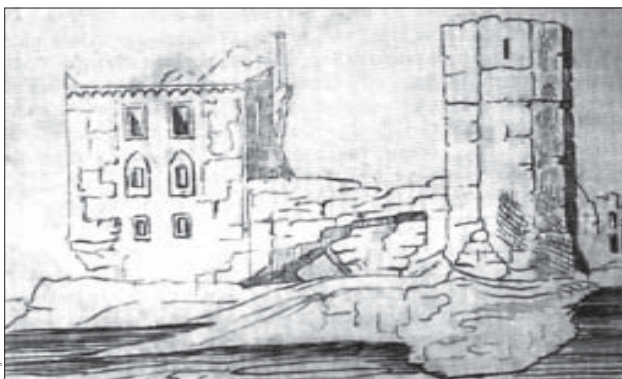
go i na sprawy ekonomiczne nie poświęcał zbyt dużo czasu. Niemniej mógł, objeżdżając należne mu terytoria, w tym Konin, zatwierdzić przywilej lokacyjny dla naszego miasta, mógł, co wydaje się bardziej prawdopodobne, potwierdzić wcześniej nadane prawo, rozszerzając je o dodatkowe przywileje. Któryś z nich musiał spowodować, że osada targowa, zwana później Starym Miastem pozostała wsią, a niewielka dotąd osada nadwarcińska podniesiona została do rangi miasta. Takie zjawisko przeniesienia

wielkiej osady w miasto. Przypomnijmy, że zgodnie z prawem niemieckim, które wprowadzono w Koninie, życie miejskie organizował zasadzony przez księcia wójt, który decydował o zabudowie, o osadnictwie sprowadzając rzemieślników: garncarzy, kowali, murarzy, bednarzy, kołodziejów i innych, dbał o samowystarczalność produkcji żywności przez mieszczan, ułatwiał wymianę towarową poprzez jarmarki i targi.

Trzecim z Piastów, którego zasługi dla początków miasta są niepodważalne, był **Kazimierz Wielki**. Po zniszczeniach i całkowitym unicestwieniu Konina za sprawą Krzyżaków w czasach Lokietka (1331), wymieniony władca przyznał środki finansowe na jego materialny rozwój. Za jego panowania i pod osobistym nadzorem, bo często w Koninie przebywał (w 1346, 1359, 1360), zbudowano okazały zamek, otoczono miasto murem obronnym (nie obejmował całego miasta), a mieszczanie postawili kościół parafialny. Wszystko to podniosło rangę miasta do statusu miasta powiatowego jako centrum administracyjnego najbliższej okolicy i siedziby starosty. Wśród panów na zamku byli znaczący później w kraju królewscy dyplomaci: Wojciech Jastrzębiec, Wojciech Małski, Jan z Lichenia, Janusz Tułuskowski, Wojciech z Żychlina, a na przełomie XV i XVI w. Ambroży Pampowski.

Jest jeszcze do wyjaśnienia postać księcia **Leszka**, występująca w legendzie o powstaniu konińskiego grodu i jego nazwie. Przyjmując ahistoryczną wersję wydarzeń można jedynie snuć przypuszczenie, że anonimowemu autorowi legendy postać taka skojarzyła się z legendą o Lechu, Czechu i Rusie. W szeregu pierwszych książąt piastowskich jest obecne imię Leszka zjącego po Siemowicie i przed Siemomysłem i Mieszkiem I, ale trudno uznać jego osobę za ewentualnego bohatera konińskiej legendy.

Lech Hejman



zob. - schowam

Nie można też odmówić zasług dla Konina **Przemysławowi II**. Gdy w 1279 roku osiadł na tronie książęciem w Poznaniu pewnie kontynuował dzieło rozwoju Wielkopolski, chociaż wnikłany był w wojny z Niemcami, w zatargi z książętami śląskimi, w sukcesję objęcia Pomorza Gdańskiego i w starania o uzyskanie tronu królewskie-

lokacji poza dotychczasową siedzibę było bardzo rzadkie. Za opinią Wędkiego, że to Przemysław II podpisał akt lokacyjny, opowiada się Piotr Rybczyński, kierownik archiwum w Koninie. Ponieważ ostatecznej prawdy nie da się ustalić, należy moim zdaniem, obu władcom przyznać jednakowe uznanie w dziele przekształcenia nie-

Laurka dla kwiaciarki

Wspomnień Pani Ireny Poczesnej wysłuchał i zanotował Stanisław Sroczynski.

Wszystko zaczęło się w 1960 roku. Młody, po szkole ogrodniczej w Koźminie i kursach we Francji – Czesław Poczesny, kaliszczanin, postanawia otworzyć w Koninie kwiaciarnię. Wtedy stary Konin, dopiero później nazywany Koninem lewobrzeżnym, był centrum handlowym rozrastającego się miasta. Pan Czesław przywiózł z zagranicy mnóstwo ciekawych nowinek kwiaciarskich, zaś z pobliskiego Rychnowa młodą żonę.

Pani Irena śmieje się, że po ślubie w sobotę i poprawinach w niedzielę –

w poniedziałek stała już za ladą w kwiaciarni. Taki już los tzw. prywat-



nej inicjatywy. Bywało, że z kwiaciarni nie wychodziła i 18 godzin. Trwa to już 45 lat. To prawdziwy rekord. Nigdy nie żalowali, że wybrali stary Konin na swoją życiową przystań. Tutaj

urodziły się trzy córki. Pani Irena żałuje, że tylko jedna z nich, Dorotka, podtrzymuje rodzinną tradycję.

Przedwczesna śmierć Pana Czesława poważnie wstrząsnęła całą rodziną oraz jej planami na przyszłość. Pani Irena wykazała się jednak ogromnym hartem ducha. Postanowiła kontynuować to, co z takim trudem zaczęła i osiągnęła z mężem. Jeszcze raz udało się – „Mimoza” jest chyba najsympatyczniejszym miejscem, w którym można zaopatrzyć się w piękne kwiaty. Zaś często zmieniając wystawę jest każdorazowo małym dziełem sztuki – to zasługa przesympatycznej Pani Aleksandry Woźniak. Oleńka jest prawą ręką szefowej i można śmiało zaryzykować – najbardziej zaufaną przyjaciółką. Panie wspólnie uzupeł-

niali się w pracy, a jak same mówią, konkurencja w tej chwili jest olbrzymia. Są jednak pełne nadziei, że dzięki wiernym klientom, których notabene serdecznie pozdrawiają, jakoś przetrwają.

Mimo wszystko – mówi Pani Irena – nie chciałabym powrotu do dawnych czasów, kiedy to drut do wiązania kwiatów trzeba było wypruć za starych opon samochodowych.

Laurkę dla kwiaciarki postanowiłem napisać z okazji Dnia Kobiet. Bo to od niej, od zawsze, brałem kwiaty dla matki, dziewczyny, żony. Ponieważ niezręcznie dawać kwiaciarkom kwiaty, chcę właśnie pp. Irenie i Aleksandrze wręczyć z okazji 8 marca tę właśnie laurkę.

Stanisław Sroczynski

Był mróz

Marzec przywitał nas nawrotem zimy. Ale tak naprawdę, cóż to za zima? Biedactwo ledwie śnieżkiem poproszy. Nosów nie odmrozi. Rachityczna jakaś ta nasza zima, cherlawka, jakby bezdomna i na stałe bezrobotna. Wpisała się w rzeczywistość przemian ustrojowych. Zupełna degrengolada.

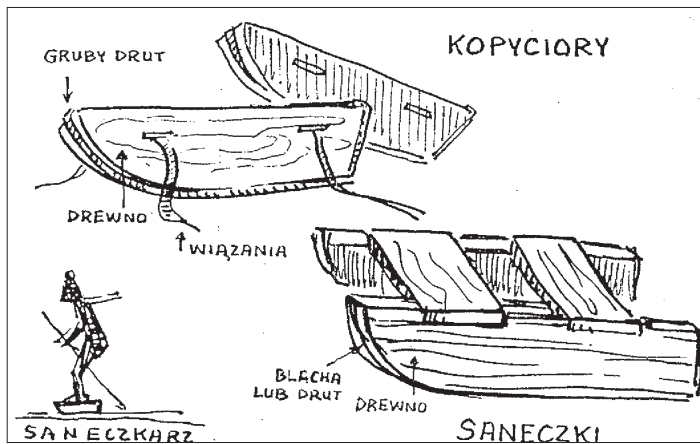
Pamiętam okupacyjne zimy. Maty słomiane na oknach, chroniące przed siarczystym mrozem. Pamiętam, już powojenne, zaspy śnieżne. Tunele w śniegu sięgające do wysokości okien, nie liczących jeszcze wówczas autobusów. Rzeki i rozlewiska pokryte grubą warstwą lodu. Kudy naszej obecnej ziemi do tamtych prawdziwie groźnych zim!

Opowiadała mi znajoma: – Mama kupiła mi ciepłe, zimo-

wydatek był spory. Patrzyłam z zazdrością na ślizgające się na lodzie dzieciaki. Balam się do nich dołączyć, żeby nie zniszczyć butów. Lanie murowane, więc zdjęłam buty i ślizgałam się bosu. Wie pan, nawet nie zachorowałam.

Dzisiaj najprzeróżniejsze rodzaje butów kuszą stosunkowo niskimi cenami. Sklepy pełne są różnych akcesoriów, przydatnych dzieciakom do

zimowych zabaw. Trudno wyobrazić sobie czasy, w których zwykły kawałek deski z powodem zastępował sklepowe sanki. Zamiast niedostępnych lyżew używano się tzw. „kopyciórów”, czyli własnej konstrukcji drewnianych prawideł, z przymocowanym do nich drutem. Do ślizgania służyły również małe saneczki, wielkości dwóch stóp, podbite grubą blachą.



Jeździło się na nich stojąc i odpychając kosturami, kijem zakańczonym ostrym, metalowym szpikulcem. Jazda wymagała sporej zręczności. W linii prostej używano się dużej szybkości. Zakręty można było wykonywać skrętami ciała, nawet „ósemki” i inne skomplikowane figury.

Inną formą zabawy na lodzie była „gintowka”. Nazwa pochodziła od uginającego się lodu. Na czym polegała zabawa? Otóż najpierw wybierało się miejsce na zamarz-

niętych rozlewiskach. Lód w tym miejscu musiał być nie za cienki, żeby się nie zarwał i nie za gruby, żeby się ugiął. Po znalezieniu miejsca kilku chłopcom, podkaskując rytmicznie, mocno uderzało o lód nogami, aż jego powierzchnia robiła się elastyczna. W ten sposób przygotowywano lód, szerokości 1,5-2 m i długości ok. 10 m, nadawał się do zabawy. Uczestnicy kolejno przebiegali po lodzie, który poddawał się każdemu stąpnięciu, uginając się i falując. Naturalnie taki lód miał ograniczoną wytrzymałość, ukazywała się woda, pękał. Bohaterem zabawy był oczywiście najodważniejszy. Decydował się na bieg po lodzie, gdy szansa na niezarwanie była prawie żadna, a mimo to podejmował ryzyko i wychodził z niego niezmoczony. Kąpiel w lodowatej wodzie nie należała do przyjemności. Mimo to nie pamiętam, żeby którejś z dzieci uległo przeziębieniu, nawet gdy się zmoczyło. Pewnie selekcja w okresie niemowlęctwa i wczesnego dzieciństwa pozostawiała tylko silne organizmy.

Tempora mutantur... a we mnie ciągle pokutuje myśl, że żadne volvo nie zastąpi radości małego chłopca, prowadzącego zakrzywionym haczykiem blaszaną obręcz po kocich łbach bruku.

Jan Sznajder

Kajakiem do Gdańska

W „Koninianach” nr 2 (23) Szymon Pawlicki podzielił się z czytelnikami swoimi przemyśleniami na wodach Wielkopolski i Kujaw. Ślad na wodzie pozostawiony przez tak zwaną jednostkę pływającą nosi nazwę kilwatek. Tak się składa, że kilwatek łodzi Szymona przecinały się z moimi.

Do wspomnień Szymona Pawlickiego dokładałam swoją przegrodę z roku 1960. Po zakończeniu działalności żeglarskiej przy Powiatowym Zarządzie Ligi Przyjaciół Zolnierza grupa wodniaków przeniosła się do konińskiego oddziału Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Zarządowi PTTK przesowałam w tamtym roku Zygmunta Pęczerski. Doszło wtedy do zakładu między mną a prezesem w sprawie samotnego pokonania kajakiem

szlaku wodnego z Konina do Gdańska. Honorowy uścisk dłoni, uroczyste „przezięcie” zakładu przez osobę towarzyszącą czyli Janinę Perathoner.

Właścicielem kajaku wykonanego ze sklejki wodoodpornej był Włodzimir Schlender. On zgodził się, aby kajak nosił nazwę „Lu 45”.

Splyw zaczął się na przystani PTTK 12 lipca. Żegnali mnie i życzyli rychłego utopienia armator Włodek Schlender oraz Mirek Wrocławski. Janek podobno zasnął.

Cztery kilometry w górę Warty do Kanału Morzylawskiego, potem pokonanie służy i osiem kilometrów wody stojącej. Dalej było słuźowanie u ujścia kanału. Kolejno był spływ jeziorami Pątnowskim, Mikorzyńskim i Ślesińskim. Przed południem zameldo-

wałem się u biwakujących w Tokarach Zygmunta Pęczerskiego i jego znajomych. Zyczyli stopy wody pod kilem, oczywiście nie wierząc w powodzenie mojej wyprawy.

Każdy, kto zna drogę wodną z Konina na Gopło wie, że na północ od Jeziora Ślesińskiego jest wieś Żóbień, a w pobliżu Przewłoka, gdzie Władysław Łokietek prowadził swoją drużynę w pogoni za Krzyżakami. Jak wiemy z lat szkolnych dopadł ich pod Płowcami i sprawił tęgie lanie. Na trasie wodnej dwie słuzy w Gawronach i Koszewie. Potem na lewym brzegu skanalizowanej Noteci wieś Warzymowo. W niej stareńki, ceglany kościółek upamiętniający piastowską osadę, z której wywodzić miała się Rzepicha, żona Piasta Kołodziejca, matka Siemowita.

Gopło „gładko” przepłynęłam i ponownie znalazłem się na Noteci, a potem na Jeziorze Szarłej. Z szacunkiem skinałem głowę w kierunku wsłojowego, miejsca urodzin Stanisława Przyszewskiego. Pięć kilometrów dalej, na lewym brzegu kanału notecznego wieś Tupalę, miejsce pochówku 4000 rycerzy poległych pod pobliskimi Matwanami w czasie wojny domowej (1666). Potem była Pakość, Barcin, Łabiszyn. Brakuje czasu na zwie-

dzanie. Odwiedzałem tylko poczty, posterunki policji i słuzy, aby przyłożyli stemple, opatrzyli je datami i podpisami potwierdzającymi, że tędy płynęłam. Potem Kanał Bydgoski, stąd przez Brdę do Wisły. Wreszcie ona, królowa rzek polskich. Wpłynęłam na nią jak miała już za sobą 772 kilometry biegu. Radość wielka. Widać mury i domy Torunia, potem za dwanaście kilometrów zabudowania Chelmana, a za osiem, na lewym brzegu, Świecie.

Hura! Coraz bliżej celu wyprawy. Ale zarazem coraz trudniej. Latem 1960 r. dolna Wisła i jej dorzecza objęte były powodzią. Wzbrana woda nie uszanowała koryta, rozlewała się na niskie brzozy, niszcząc wszystko po drodze. Z nurtem płynęły wrota i ściany stodoł, drewniane dachy, psie budy i wypływające z gruntu drzewa. W Grudziądzu milicjanci zakazali mi dalszego spływu, obawiając się o moje bezpieczeństwo. Nie miałem żadnych argumentów. Zgodziłem się z nimi i jeszcze przy nich zacząłem ładować do plecaka skromny dobytek. A były to takie lata, w których wodniak mógł bez obawy o okradzenie zostawić przy brzegu swoją łódź. Zostawiłem wszystko i udałem się do miasta, aby kupić kilka baterii do latarki. Wzbogacony o nie wróciłem na brzeg rzeki i czekałem na zmierzchnięcie wo-

dnia. Godziny się dłużyły, bo latem słoneczko późno kładzie się spać. Wreszcie nadeszła właściwa pora. Zsunąłem kajak na wodę, wsiałem do niego, machnąłem wiosłami i zniknąłem w czerni noocy.

Trudno, oj trudno się płynęło, nie wiedząc gdzie główny nurt a gdzie wylewy rzeki. Zdarzało się, że dziobem kajaka w coś uderzałem. Zapalałem wtedy powieszoną na szyi latarkę, choć niewiele widziałem w mętnej wodzie. Tylko mającące z oddali zachodnie wzniesienia brzegu Wisły. One były moim głównym przewodnikiem. Od Grudziądz do miasta Nowe jest około 18 km. Dalej jeszcze 11 km do wsi Opalenie. Na dworzec już jaśniało. Radośniej zrobiło mi się na duszy, bo patrzam na filary nieistniejącego mostu poczułem się jak w rodzinnym Koninie. Stąd przecież pochodzą dwa przesła mostu przeniesienie nad zalew nadwarciański.

Potem spływ był łatwiejszy. Wisła jakby się uspokoiła i na jej grzbiecie pojawiły się motorowe barki. Przeszłam się obawiać, że zabronią mi spływania. W Przegalinie na Martwej Wiśle pokonałem ostatnią, dwudziestą słuzy na mojej trasie. Osiągnąłem Gdańsk. Zakład wygrałem.

Zygmunt Kowalczykiewicz

Ze wspomnień

W obozie powstańczym

Jechaliśmy parę godzin, gdy nareszcie ukazały nam się olbrzymie, gęsto zarosłe bory, a wśród nich, na znacznej wyniosłości Dzicze Góry, gdzie formował się obóz. W niespełna pół godziny wyjechał naprzeciwko nas rekonesans, złożony z kilkunastu konnych, między którymi poznałem i moich serdecznych przyjaciół z okolicznych właścicieli ziemskich, jak Mieczysława Puławskiego z Janiszewa, Kazia Potworowskiego z Dąbroszyna i Tadeusza Wyganowskiego, późniejszego dziedzica Zbyszyc. Na widok tych dzielnych i poczciwych chłopów otucha wstąpiła mi do serca, różniej bowiem jest na takiej wojaczce być w gronie dawnych dobrych przyjaciół, niż między zupełnie obcymi.

Towarzysze nasi powiedli nas do obozu. Smutne, co prawda, czynił on wrazenie.

Na dość obszernej polance, otoczonej dokoła gąszczem drzew i krzewów, rozstawała się gromada ludzi, licząca nie więcej nad 500 osób.

W pośrodku ustawione były rzędem wozy z amunicją i bronią zapewne, oraz parę wozów z bardzo skromnymi prowiantami. Czuwała nad nimi zmieniająca się co trzy godziny straż, złożona z kilkunastu pieszych, zbroj-

nych w karabinki różnego kalibru i sześciu konnych, uzbrojonych w pałasze i rewolwery lub pistolety starego także kalibru. Niedaleko tej grupy rozpięty był dość obszerny namiot z polowym łóżkiem żelaznym i skórą obitym kufierkiem oraz dwoma piałtami i stołem, stanowiącym całą ozdobę tej czasowej rezydencji dowódcy oddziału.

Był nim niejaki Mieszkowski, podobno ex-obywatel. Średnich lat, słusznego wzrostu, przyjemnej i dość pokładnej powierzchowności, przyjął nas bardzo serdecznie, w oddziale bowiem, który formował, mało było ludzi ze sfery inteligentniejszych. Składali się nań przeważnie młodzi ludzie z miasteczek okolicznych, którzy porzucili warsztaty, mniejsze fabryki i sklepiki oraz oficjalności prywatni i rolni, wreszcie kategoria młokosów nie mających określonego zajęcia, ani sposobu do życia. Dla tych ostatnich obóz przedstawiał jakąś pozycję socjalną i chwilowe utrzymanie, więc też chętnie się do lasów garnęli.

Rozlokowani byli w ten sposób, że kosynierzy stanowili tylną część oddziału, opartą o las, strzelcy wysunięci bliżej namiotu dowódcy, a kilkadziesiąt koni, stanowiących kawalerię, zebrano bliżej strugi leśnej, gdzie zaraz poić je było można.

Nastroj był w ogóle jakiś posespny, ani sam dowódca, poważny i zaspionny, nie mógł podkomendnym swoim dodać animuszu. Czuć było w powietrzu troskę o jutro, widać było u większości zebranych, że przyszedł, bo tak robiono w całym kraju, ale bez tej wiary ślepej, która walczącym dodaje odwagi i nadziei powodzenia oręża. Gdy do tego dodamy szczuple racje pożywienia, wydawane kosynierom, z uwagą na trudność prowiantowania w tych odległych lasach i brak jakiej takiej osłony przed wichrami i przymrozkami marcowymi, nie można się było temu nastrojowi dziwić.

Wyznaczono nam odpowiednie stanowiska. Jednych mianował dowódca porucznikami, starszym dostała się od razu godność kapitana; kilku z nas dobrał sobie dowódca do boku jako adiutantów i oficerów sztabowych.

Po południu nowo mianowani oficerowie, przeczytawszy instrukcję, którą każdy dowódca od Wydziału Wojennego Rządu Narodowego otrzymał, przypatrywali się ćwiczeniu kosynierów i mustrze strzelców, choć ta ograniczała się tylko do władania bronią i marszu oraz formowania się w kolumny, o strzelaniu bowiem, które by zdradziło istnienie oddziału, mowy

być nie mogło.

Pod wieczór napływać zaczęli nowi ochotnicy spod Stawiszyna, Rychwała i z samego Kalisza. Niekótry byli zaopatrzni w jaką taką odzież i żywność, ale byli niestety i tacy, którym wszystko dawać trzeba było, a że zapasy odzież, a zwłaszcza ubuwia, na wozie, zwanym cekhauzem, były bardzo niedostateczne, musiał wiec dowódca kilku obdarzonych biedaków odprawić zupełnie.

Dzień ten pierwszy spędzony w obozie niezbyt dodatnie wywarł na nas wrazenie. Zbici w gromadkę dawnych sąsiadów i przyjaciół, szepaliśmy sobie na ucho, że w takiej partii i pod dowództwem człowieka, widocznie nieobeznanego z rzemiosłem wojennym, przy pierwszym spotkaniu z wojskiem możemy być zupełnie rozbiti.

Po pierwszej ciężkiej, nieprzespianej nocy, w której po wygodnych naszych łóżkach kulbaka służyć nam musiała za poduszkę, a burka za materac i koldrę zarazem, kiedy zziębnięci i zmęczeni, zaczęliśmy się pożywiać resztą prowiantów, znajdujących się na mojej bryczce, nagle wśród ciszy, przerywanej tylko szmerem drzew i szepem krzątających się koło rozpalonego stosu gałęzi kosynierów, zadźwięczał dzwonek przed namiotem dowódcy. Zebraliśmy się tam, a w głębi namiotu spostrzegliśmy mały, prowizorycznie ustawiony ołtarzyk polowy, przed którym ubrany już w komżę i ornat ksiądz Max rozpoczął odprawianie mszy świętej. W uroczystym skupieniu ducha ukląkł cały obóz dokoła namiotu, a najgorętsza w życiu modlitwa popłynęła do Stwórcy wrzechrzeczy, któremu polecałiśmy losy naszego kraju i pozostałych w domu rodzin naszych.

Po skończonej mszy i specjalnej benedykcji, której nam ksiądz Max udzielił, wszyscy nowo przybyli wczoraj składali przysięgę na wierność dla sprawy ojczyzny, na posłuszeństwo naszym dowódcom, na najciszej-

szę dochowanie tajemnicy w razie dostania się do niewoli rosyjskiej, na miłość bratnią dla współtowarzyszy i na poświęcenie życia swego w bitwach z nieprzyjacielem oraz na obietnicę, że nikt bez rozkazu dowódcy sam w nikczemnej ucieczce z pola bitwy ratunku szukać nie będzie.

(...) Wśród niewesołych refleksji spędziliśmy drugą noc obozową na pikiecie, skostniałi od mżącego ustawicznie deszczu. Nad ranem zjawili się dwóch konnych z rozkazem powracania do obozu, w którym zajęć mają zmiany. Obóz zwijamy, a nowy dowódca kapitan Breker nakazał gotowość do wymarszu. Mieszkowskiego odwołano do Warszawy. W obozie ruch panował niezwykły. Kończono czyszczenie i karmienie koni. Kosynierzy, odziani do wymarszu, zasiadli koło kilku kotłów, kończyli skromną zupkę z kartofli z gdzieniędzie pływającymi skwarkami słoniny. Wozy naładowane resztkami prowiantu, amunicją, bronią zapasową i świeżo przywiezionymi kosami, stały zaprzężone, gotowe do wyjazdu.

Na środku polanki tegi, kępę męczynną lat średnich, marsowej postawy, w czamarcie, konfederacie i butach palonych, wydawał instrukcje otaczającym go podkomendnym. Z lakoniczności jego mowy, z krótkości wydawanych rozkazów znać było, że to człowiek obyty z wojacką tego rodzaju. Nie wiem dłaczego, ale duch jakiś lepszy wstąpił w nas na widok nowego dowódcy. Był on kiedyś lejtnantem pruskim, a w roku 1846 z Mierosławskim bił się pod Miłosławiem i dzielnie sprawiał.

Powyższe wspomnienia, których fragment drukujemy, są autorstwa Juliana Wieniawskiego, dzierżawcy majątku Góry, który uczestniczył w powstaniu styczniowym. Najpierw był w partii Bekera, później zajął się organizacją zaplecza dla powstania jako cywilny jego naczelnik. Po latach napisał wspomnienia Kartki z mego pamiętnika.

Julian Wieniawski

Naszym zdaniem

Drogi i bezdroża Muzeum Okręgowego

Czy jest sens rozważać, co by było, gdyby...? Wbrew potocznym opiniom tak, jeśli historia ma być rzeczywiste jakąś nauką, jeśli doświadczeń nie trzeba zapisywać guzami na głowie, a używać jej do szukania i testowania optymalnych rozwiązań. A więc cofnijmy się do lat siedemdziesiątych...

Skromne muzeum powstałe na bazie zbiorów m.in. PTTK startuje do swojej wielkiej kariery. Jak wiele placówek regionalnych jest oczywiście skazane na różnorodność, na gromadzenie wszystkiego, co obrazuje historię i współczesność tzw. małej ojczyzny. W tym zresztą tkwi także siła i atrakcyjność takich przybytków. Zarazem jednak muzeum regionalne powinno mieć swoją specyfikę, być wyjątkowe, tak jak wyjątkowe na swój sposób jest oblicze każdej ziemi i jej historia. Tego poszukuje odwiedzający, a nie bladego i ubożego odbicia zbiorów wielkich, centralnych skarbnic.

Szansą dla Muzeum konińskiego był rozwój kopalnictwa węgla brunatnego i wydawało się nawet, z począt-



zdj. - Szymanski

ku, że Muzeum z tej szansy skorzysta. Stanie się placówką wyjątkową pod względem zbiorów przyrodniczych, paleontologicznych, pozyskiwanych z kolejnych odkrywek. Niestety, wiele z eksponatów zdobytych na tym wczesnym etapie, niewłaściwie przechowywanych i konserwowanych, uległo zniszczeniu, z czasem zaprzestano w ogóle eksploracji odkrywek.

Łatwiej i przyjemniej robi się przeciwzakup w salonach i galeriach. Przykładem przemawiającym do wyobraźni może być zbierany przez pracowników kopalni gagat i jantar, który nie trafiał do Muzeum, lecz w ręce prywatnych rzemieślników.

Obecne zbiory i kolekcje muzealne są raczej odbiciem upodobań i starrań poszczególnych pracowników, niż przemyślanej, długofalowej polityki. Wszystkie one mają swe bogatsze i cenniejsze odpowiedniki w innych muzeach. Dotyczy to zbiorów malarstwa, numizmatyki, historii oświecenia, biżuterii patriotycznej, a nawet największej pasji pani dyrektor – judaików. Dużo tych „specjalizacji”, prawda?

Najsłynniejszy eksponat znalazł się przypadkiem w węglu brunatnym, tzw. słoń lańskie, od dziesięcioleci nie może doczekać się rekonstrukcji. Piennadze przeznaczane na przygotowanie dla niego miejsca ekspozycji w spichlerzu w Gosławicach można było już dawno wydać np. na postawienie przy dworcu PKP oszklonej, sześciometrowej gabloty, podświetlonej, klimatyzowanej i hermetycznej. Pomysł może zwariowany, ale tak powstają atrakcje turystyczne na świecie. Wyobrażacie sobie Państwo te tysiące ludzi we wszystkich pociągach na trasie Poznań-Warszawa przyklejonych do okien? Czy byłby choć jeden autobus wycieczkowy w tym rejonie Polski, który by nie zбочzył do Konina, by zobaczyć takie monstrum?

Lech Stefaniak

Z życia Towarzystwa Przyjaciół Konina

Siedemnastego lutego w siedzibie Biblioteki Dziecięcej, w dawnej synagodze odbyło się spotkanie przyjaciół nadwarciańskiego grodu, aby wybrać nowe władze i nakreślić dalsze plany pracy dla Towarzystwa. Zadaniem TPK było i jest krzewienie wiedzy historycznej o mieście i jego mieszkańcach, kultywowanie tradycji regionalnych, dbałość o ochronę zabytków oraz popularyzację książek i dokumentów o Koninie. W kadencji 2001-2005 prace te koordynował i w większości realizował pięciosobowy zarząd kierowany przez Piotra Rybczyńskiego, kierownika konińskiego archiwum.

Uczestnicy zgromadzenia dowiedzieli się, że mimo trudności finansowych zarząd wykazał się działaniami godnymi uznania, redagując „Koniniana”, współuczestnicząc w organizacji konkursu o nagrodę „Milowego Słupa”, upowszechniając wydarzenia z dziejów miasta wśród młodzieży, nauczycieli historii, poprzez pogadanki radiowe i materiały prasowe. Ukazało się kilka książek autorstwa regionalistów.

Na zebraniu dyskutowano o nowych formach kierowania Towarzystwem w oparciu o obowiązujące w kraju wymogi prawne, stąd dużo miejsca poświęcono projektowi zmian w statucie i ewentualnym przekształceniu Towarzystwa w organizację pożytku społecznego.

Miło nam donieść, że w obradach udział wzięli koninianie mający znaczny dorobek w działalności społecznej, kulturze i sztuce. Na naszym spotkaniu byli przedstawiciele władz miasta, zarazem członkowie Towarzystwa, Tadeusz Tylak, zastępca prezydenta miasta i Roman Karaszewski, wiceprzewodniczący Rady Miasta. Podczas dyskusji mówiono o potrzebie dalszych działań związanych z przeszłością i teraźniejszością miasta. Dyskutantami kierowała troska o rozwój urbanistyczny miasta, nawet o detale architektoniczne.

Po wyborach do władz Towarzystwa ukonstytuował się nowy zarząd w składzie: Stanisław Sroczyński – prezes, Piotr Rybczyński – wicepre-

zes, Zygmunt Kowalczykiewicz sekretarz, Lech Hejman – skarbnik i Jan Sznajder – członek zarządu. Komisję Rewizyjną stanowią: Maria Ośmielakowa, Zbigniew Szubert i Jerzy Studziński.

Ustalono, że siedzibą Towarzystwa pozostanie Miejska Biblioteka Publiczna w obiekcie b. synagogi. Nowe władze oczekują od mieszkańców na korespondencję i osobiste kontakty, a od władz i ewentualnych sympatyków wsparcia finansowego.


Łacińskie przysłowie mówi – rzeczą ludzką mylić się. W przeszłości zdarzało nam się popełniać różne błędy i grzeszyć osłabieniami aktywności. Przepraszamy. Liczymy na słowa wsparcia i pomocy w kierowaniu Towarzystwem. Wszystko to dla dobra i chwały naszego nadwarciańskiego grodu.

Nowy zarząd informuje, że w najbliższym czasie rozpocznie cykl otwartych spotkań z mieszkańcami. Najbliższe spotkanie odbędzie się 23 marca o godz. 16.30 w gmachu MBP przy ulicy Dworcowej 13 na temat „Konin – miasto nieznanie”

Na ręce nowego prezesa gratulacje z okazji wyboru przesłał Prezydent Miasta Kazimierz Pałasz życząc nowemu zarządowi sukcesów w propagowaniu wiedzy o Koninie.

Zarząd TPK

Konin 2005 02 25



PREZYDENT
MIASTA KONIN

Pan
Stanisław Sroczyński
Prezes
Towarzystwa Przyjaciół Konina

Szanowny Panie Prezede!

Serduszek Pana gratuluje wyboru na Prezesa Towarzystwa Przyjaciół Konina. Cieszy się, że osoba taka jak Pan, aktywnie zaangażowana w życie miasta, będzie sprawować tę funkcję.

Towarzystwo Przyjaciół Konina prowadzi nieomnierną działalność na rzecz promocji miasta, kultywowania jego tradycji i historii. To dzięki Waszej pracy młode pokolenia koninian szanują swoje miasto i dowiadają się wielu cennych informacji o jego pięknej przeszłości. Towarzystwo pragnie także bliższych kontaktów, a Opłotopolski Kościół o Nagrodę „Milowego Słupa” na stałe wpisali się w kalendarz konińskich imprez kulturalnych.

Drżącym za dotychczasową współpracą, wierzę że będziecie się ona nadal doskonale układać.

Panu natomiast życzę wszelkiej pomyślności, zdrowia oraz wiele radości i satysfakcji z powierzonej funkcji.

Z szacunkiem i szacunkiem
Kazimierz Pałasz
Kazimierz Pałasz

Ekspozyty z muzeum Janka Sznajdra



Adam i Ewa. Autor – Józef Chajec 1974 r., rzeszowskie

WIERSZE WENEDY

PRAGNIENIE

Zaprawdę byś wziął mnie w ramiona
Przytulenie
Chciałabym poczuć ciepło twego ciała
Ukojenie

TĘSKNOTA

Nic nie może słumić tęsknoty
Ani noc niebo z jasnymi gwiazdami
Ani zapach leśnych ziół
Wróć niewdzięczny
Ani dalekie horyzonty łąk
Dam ci światło księżyca
Dam ci dotyk chłodnych wód
Dam ci ciepło słoneczne
Dam ci słodycz miodu akacji
Wróć niewdzięczny
Zgaś tęsknotę
Przywróć oczom blask
Przywróć ustom uśmiech
Przywróć melodię dobrych słów ---

RAJ

Podajesz mi jabłko
Rumiane soczyste
- nagle skojarzenie
- a z jakiego drzewa

nie bój się mówisz
to jest klucz do raju